

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

5)

— Czy tylko pewny jesteś, mój drogi, że to, co rzekłeś, jest prawdą. Rozumiesz przecie, że tysiąc-krotnie byłoby to dla nas przykrem i niewygodnem, gdyby ten trzeci wyrzucony został na puste wybrzeże, nie odszukany wprzód przez swoich starych kompanów. To też mam nadzieję, że jesteś bezwzględnie pewny faktu, o którym mówisz. Rozważ-no to sobie spokojnie!

— Nie wyskoczył.

— Nie, powiadasz?

— Wpadł do wody.

— Biedny chłop! biedny chłop! — Słowa płynęły mu z ust w tonie najszczerzej i najtkliwiej litości. — Przypuszczam, że nie masz najłżejszej wątpliwości co do jego smutnego końca?

— Widziałem, jak tonął. Spadł, bo lina wysunęła mu się z ręki. To niezawodna prawda... prawda święta! Oto, jak się rzecz stała: już liny nie mógł utrzymać... i spadł. Widziałem na własne oczy... Kapitanie, to był twój nóż — dodał John z nerwowym wysiłkiem, zwracając szklany wzrok raz na przybysza, to na mnie, poczem niemal bezmyślnie utkwiał go znowu w morzu.

Kapitan wlepił w twarz jego przenikające spojrzenie. Poczem uśmiechnął się łagodnie, zacisnął wargi, jakby chciał gwizdnąć wesoło — i rzekł do mnie:

— Widzę, mój mały, że znasz Johna. John, dobry facet... o tak! Spokojny, cichy, szczerzy, przejęty na wskroś duchem chrześcijańskim, w samą miarę taki kolega, jakiego taki jak ty chłopczyzna potrzebować może. W Johnie Railban nie znajdziesz ani wady pijaństwa, ani brzydkiego nałogu miotania przekleństwami, ani żadnej innej zdrożności. Przyczem jest prawdomówny... istny wzór prawdomówności. Za wszystkie skarby Indyi, nie skłamałby ani raz! Masz szczęście posiadać takiego przyjaciela. Nielatwo i nie zawsze znaleźć można podobnego.

Napróżno zwróciłem oczy na „wzór prawdomówności“, chcąc się dowiedzieć, w jaki sposób przyjmuje komplementy, któremi go kapitan obsypywał, lecz dostrzegłem tylko zamglone źrenice, pogrążone w stałej kontemplacji morza.

— Zatem, drogi Johnie, widziałeś, jak umierał? „Kto go widział umierającym?“ pytano podsądnego w śledztwie. „Ja, moimi małemi oczkami“ odpowiedział człowiek, nie mijający się nigdy z prawdą. Wiem przytem, że masz dobry wzrok. Zatem... biedny chłop nie żyje. Wpadł w wodę, powiadasz!... Nie dziwię się wcale, że śmierć jego wprawia cię w pewien rodzaj rozdrażnienia i niepokoju, lecz czy nie sądzisz, mój Johnie, że przy całej wspólnej sympatii dla nieszczęśliwego, byłoby dla nas rzeczą ze wszech miar właściwą, zająć się teraz odczytaniem testamentu? Prawdopodobnie — jak to sam rozumiesz najlepiej — możemy już nigdy nie znaleźć się, tak jak dzisiaj wszyscy trzej razem, bo do trójki zaliczam tu obecnego naszego przyjaciela. — Spojrzał na mnie. — Jak się zowiesz, mały. Hę?

— Kasper...

Nie zdążyłem po imieniu wymówić nazwiska, bo przybysz ciągnął dalej:

— Kasper, bardzo pięknie! Otóż pewny jestem, że mały druh Kasper dozna również pewnej melancholijnej rozkoszy, słuchając treści interesującego testamentu.

Oczy przemawiającego polyskiwały teraz wyra-

zem szatańskiej złośliwości. John, patrząc w nie, podobny był do zranionego zwierza, dogorywającego u stóp myśliwca, który go postrzelił.

— Testament? Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wiem... Nie mam testamentu.

— Ależ nie o twój testament chodzi, drogi Johnie, nie o twój! Sądzę, że musisz coś wiedzieć o ostatniej woli... no! Powiedzmy... tamtego. Nie spiesz się, Johnie, zastanów się, pomyśl...

— A niech mnie pioruny zatrzaskną, jeśli...

— Cicho, ciszej, Johnie! Pomyśl, że byłoby nieładnie, gdybyś się zaklinał i krzywo przysięgał w obecności Kasptra, naszego małego druha, mającego o tobie najlepsze mniemanie. Przytem nie wątpisz chyba, że wiem, jak szczerem i prawdziwym byłeś przyjacielem utopionego. Znałeś wszystkie jego sekreta. Pewny jestem, John, że gdy pomyślisz spokojnie, przypomnisz sobie niezawodnie wszystko, zwłaszcza, że byłeś obecny przy jego zgonie. Sam powiedziałeś przed chwilą, że widziałeś go, gdy spadał...

John milczał.

— No, no! Przykro mi bardzo, że nalegam, lecz w rzeczy samej, tak nasz mały przyjaciel, jak ja, powinniśmy nalegać o odpowiedź. Bo uważaj, mój drogi Johnie, że w razie gdybyś nie chciał z nami dalej rozmawiać, zmuszony byłbym poprosić cię o pomówienie ze mną gdzieindziej i w inny sposób. Stałoby się to niezawodnie wbrew mojej woli, lecz koniec końców staćby się musiało. Zastanów się tylko, jakim byłoby to dla ciebie nieszczęściem.

— Dyable!... dyable!

Chrypiący głos Johna brzmiał wprawdzie głucho, lecz teraz dźwięczało w nim coś, co nie było ani obawą, ani nadzieją.

— Jeśli chcesz koniecznie, zgoda... zgoda, jestem dyablem! Lecz wiesz, że dyabeł zwykł ściągać załagłe długi, powstałe z wszelkiej zdrady. Wszak wiesz o tem?

I zanucił:

Za zdrady, załagłe długi, z wyroku piekielnych kart,
Życia pozbawił ich czart.

Poczem znowu mówił głosem dziwnie słodkim.

— Tak, Johnie, czy jestem dyablem, czy nie, czekam na wypłatę. Czy tak szczęśliwy chłop, jak ty, powinien się ze mną targować?! Wszakże, masz Łucyę, czegoż możesz żądać więcej? Obaj chcieliśmy ją posiadać, lecz tobie tylko przypadła w udziale. Ona z utęsknieniem dziś czeka na ciebie. Byłoby to dla niej w istocie bardzo przykrem, gdybym zjawiwszy się u niej, doniósł, że jesteś zamknięty w więzieniu... To tylko przypuszczenie, John! tylko przypuszczenie!... Ale gorsza jeszcze wieść, odsunęłaby w przyszłości od małej Jenny wszystkich konkurentów, mogących ubiegać się o rękę... Pomyśl tylko, jak biedne dziewczę musiałoby się wstydić ojca, powieszzonego z mocy sądowego wyroku. A zdaje mi się, że chyba jesteś jej ojcem...

W chwili, gdy kapitan wymawiał ostatnie wyrazy, John porwał się z miejsca, poskoczył ku niemu i pochwycił go za gardło. Krótko trwała walka... Przekleństwo, poczem jakby mignięcie błyskawicy... i z jękiem śmiertelnego bólu, rozkrzyżowawszy w powietrzu ramiona, towarzysz mój runął na wznak u stóp skalnej ściany.

Działo się to nie dłużej może, jak chwilę. Krzyk, brwz krwi... potem milczenie. Jak długo trwało to mi nie, nie umiałbym powiedzieć. Co się stało później? Czy krzyczałem, czy zemdlałem, czy oczy zmrużyłem, czy miałem otwarte? Nie wiem. Przypominam tylko sobie, że gdy powoli powracałem do przytomności, ujrzałem kapitana stojącego nade mną, ocierającego nóż w pęczek zielska i mchu, wyrwanego ze szczeliny skały i przyglądającego mi się bacznie.

Dziś jestem prawie pewien, że w czasie tego co wyżej, życie moje wisiało na włosku. Lecz wówczas byłem oszołomiony i zgnębiony moralnie, by cokolwiek bądź rozumieć.

Kapitan, nie bez wahania, wsunął powoli nóż za pas, zbliżył się nad brzeg skały, spojrział w głąb i wnet do mnie powrócił.

— Czy należysz do rasy malców, która paple?

Głos jego był jeszcze słodszy niż przedtem, palił mnie tylko oczami, żarzącymi się jak węgle.

Prawdopodobnie zrobiłem gest przeczenia, bo mówił dalej:

— Słyszałeś, jak mnie on nazwał? Nazwał mnie dyablem... rozumiesz! Jestem w rzeczy samej dyablem!

W odurzeniu, jakim byłem owładnięty wtedy, mogłem wszystkiemu uwierzyć, więc nie zastanawiając się wcale wierzyłem w to, co mówił do mnie.

— Jako dyabeł, gdziekolwiek bądź się znajduję, słyszę wszystko, co mówią mali chłopcy. A gdy chłopaki paplą, chwytam ich natychmiast, choćby nie wiem, gdzie starali się ukryć przedemną. Niekiedy przychodzę do nich, gdy leżą w łóżku; niekiedy zaś wyskakuję z pod ziemi, gdy bawią się w ogrodzie. Schować się tak, żebym ich nie widział, nie potrafi żaden. Czy słyszałeś co kiedy o Apolionie? Ja nim jestem.

Czytałem już coś w mojej książeczce o Apolionie, więc nie wątpię, że mówi prawdę.

— Chwytam takich, jak ty chłopców, gdy się tego najmniej spodziewają, a ojcowie i matki już ich potem nie widzą wcale. Umierają powoli, powoli, powoluteńku... Dowiesz się jak, jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci chętka wypaplania coś widział.

Nie pragnąłem dowiedzieć się, bo dość miałem tego, co widziałem. Widocznie i on był tego samego zdania, bo utkwivszy raz jeszcze swój ogniasty wzrok w moich oczach, kazał mi wstać i poprzedzając go, schodzić ze skały.

Nie jestem w stanie opisać, co się ze mną działo w czasie tego schodzenia. Co moment zdawało mi się, że jakieś ostre szpony wpijają mi się w moje plecy, i że czuję tajemnicze ręce jakieś piekielnej potęgi, ściskające mi szyję. Tuż za mną szedł mój nowy towarzysz i śpiewał:

Sól morską wyżarła mu oczy, ręce zasypał piach,
Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab...

Gdyśmy nareszcie stanęli na dole, kazał mi wejść do tunelu i skierować kroki ku zatoce Gotowych Pieniedzy.

Tu, pochylił się nad wodą i zaczął ją badać bardzo pilnie, lecz po nieszczęśliwym Johnie nie było i śladu. Zakławszy strasznie, wdarł się niezmierznie szybko na Skałę Umarłego, po jej północnym zboczu. Ze szczytu spojrział w głąb morza. I stąd nic nie dostrzegł. Zbiegł więc na dół, zrzucił z siebie odzież, wskoczył do wody i kilka razy tu i owdzie dał nurka. Poczem, widocznie okropnie zmęczony, wyskoczył na brzeg, zwinął w węzełek: koszulę, spodnie i pas z nożem, zarzucił sobie na plecy i wdrapał się znowu na skałę aż do mnie, oczekującego nań w sennym jakimś poddaniu się i odrętwieniu.

— Niech go dyabli porwą!... Gdzie się też mógł podziać?!

Ujrzałem wtedy, jak strasznie jest chudy i wyczerpany. Podobny był do zmęczonego oblawa i przeziębionego wilka, bo jak wilk zgrzytał zębami. Skaleczył sobie nogę na jakimś ostrym glazie, więc nie spuszczał z mnie ani na chwilę swego palającego okrucieństwem wzroku i trzymając mnie za rękę, zeszedł znowu nad brzeg morza i zaczął przemawiać ranę, krwawiącą się nieco.

— Powiedz że mi, mój mały, jak się nazywasz?